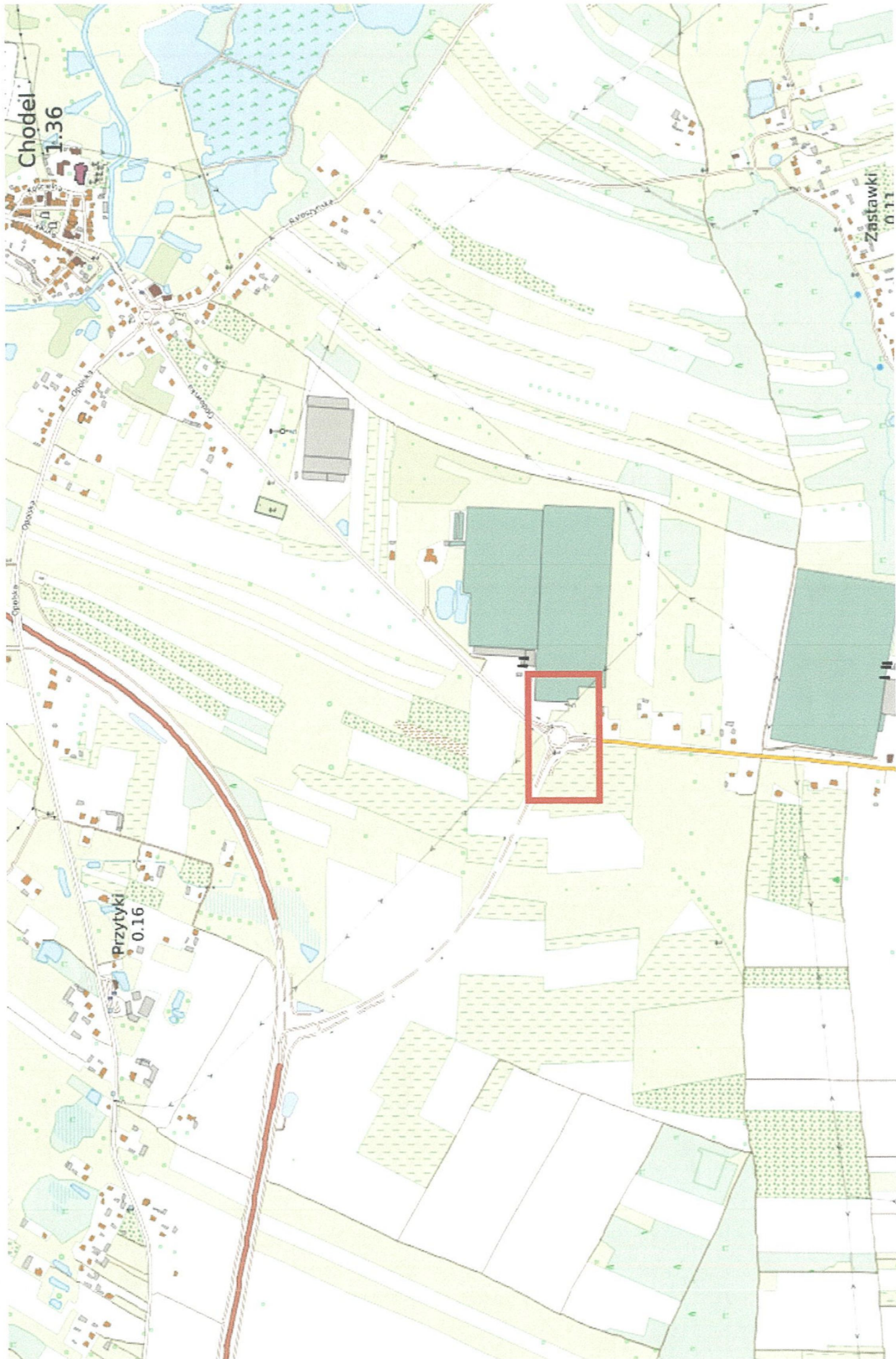




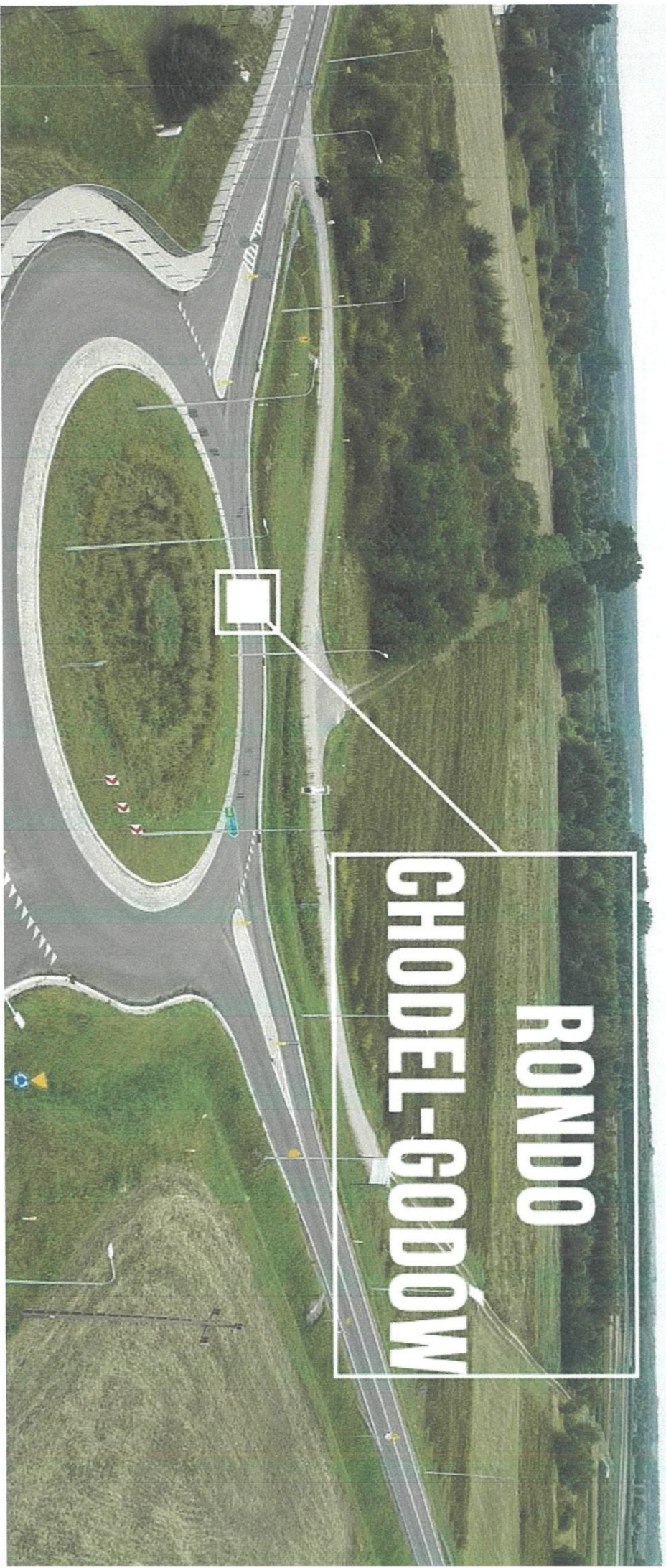
port. H. P. S. 1920

J. P. 1920.  
Kozwadowski









# RONDO CHODEL-GODÓW





nazywano „młode wojsko”.

## TRAGEDIA W CHODLU

Wojska austriackie do Chodla wkroczyły 26 sierpnia. Początkowo Austriacy wobec miejscowych nastawieni byli pokojowo. Za żywność i towary płacili gotówką. 27 sierpnia wycofali się w panice. Potem znów weszli. W ciągu dziesięciu dni ruch ten powtórzył się sześć razy. Stosunek do mieszkańców jednak zmienił się diametralnie, za zarekwirowane bydło i żywność w większości przypadków żołnierze już nie płacili [586, s. 3]. Rozwadowski zobaczył w Chodlu „rynek spalony, sklepy zrabowane”, nawet mieszkania biedaków rozgrabione, kilku powieszonych za rzekomą zdradę, „a proboszcz oskarżony o dawanie Rosjanom sygnałów optycznych z wieży kościoła” [1253, s. 50]. Niebawem do Opoła dotarła straszna wieść, że przez Austriaków został zamordowany wikary chodelski, dwudziestosiedmioletni Aleksander Stelągowski. Psychoza typowa dla napięcia nerwowego, połączona z paniką, a może i ze zjawiskiem fizycznym, odbicia promieni słonecznych przez szyby, spowodowała, że Austriacy powzięli podejrzenie, iż z wieży kościoła w Chodlu ktoś daje umówione znaki wojskom rosyjskim. Gospodarzami kościołów są księża i przeciwko nim zwróciły się pretensje. Proboszcz i wikary zaprzeczali, przysięgali, oddali klucze do kościoła, wszystko na nic. W nocy 31 sierpnia aresztowano proboszcza Piotra Ozimińskiego, wzięto i kościelnego. Wikary, ksiądz Stelągowski, czując niebezpieczeństwo, uciekł przez okno w bieliźnie. Tym jakby rzucił na siebie podejrzenie. Rozpoczęła się obława, jak na niebezpiecznego zwierza. Pochwycono go i wszystkich trzech trzymano pod strażą na świeżym powietrzu. Obok przechodził jakiś Węgier, pokazując im wymowny gest dłonią po szyi i wywalając język – będą wisieć, zaś oficer austriacki potrząsał przed oczyma trzema stryczkami. Tuż obok przejechała bryczka-szafot z oficerem i żołnierzami. Wreszcie, w środę 2 września rozpoczął się proces, zaś sędziowie, poza jednym oficerem, nie znali polskiego. Oskarżenie się jednak



nie utrzymało i księży oraz kościelnego puszczono wolno. Na wieży kościoła usadowili się teraz obserwatorzy austriaccy. Rosjanie atakowali, sztab opuścił Chodel i cofał się na południe, stając w Kluczkowicach. Rozpoczął się odwrót, ludzie, nauczeni doświadczeniem, kryli się przed wściekłością Austriaków, którzy w jakiś sposób znów wypatrzyli księdza Stelągowskiego i zaprowadzili go do Ratoszyna, gdzie miał stacjonować sztab, ale już się stąd wyniósł. Przywlekli więc wikarego z powrotem do Chodla i przed osadą, dopiero co uniewinnionego, rozstrzelali, zostawiając na postrach nie pogrzebane zwłoki. Parafianie bali się więc go pochować. Dopiero po odejściu Austriaków przyjechał duchowny z Bełzyc i pochował kolegę. Tragedia odbiła się szerokim echem, wspomnieli nawet o niej generał Rozwadowski:

„zdołałem przypadkowo szczęśliwie obalić (oskarżenie), gdyż przyglądając się bacznie owej wieży kościelnej w chwili gdy słońce zachodziło, zauważyłem, że promienie załamując się w małych szklanych okienkach powodowały silne i często zmieniające się odbłaski, które naturalnie [za] sygnały poczytywać mogła jedynie chora ze strachu wyobraźnia pragnąca koniecznie dopatrzeć się zawsze i wszędzie zdradę, a to głównie dla usprawiedliwienia swego własnego niedołęstwa lub nawet tchórzostwa – wypowiedziałem też dobitnie to zapatrywanie w sztabie brygady i odjechać mogłem przynajmniej z tym przeświadczeniem, że nieszczęśliwego proboszcza dalej o zdradę podejrzewać nie będą” [1253, s. 51].

W Chodlu od pocisku zginęła cała rodzina Żyda Cukiermana oraz szesnastoletnia córka Izydora Zarzyckiego. Zginęła również matka wójta Bogusławskiego. U Karola Ciężczyka znaleziono wojskowy szynel, należący do nieobecnego syna, żołnierza armii rosyjskiej. Oskarżono go więc o przechowywanie żołnierzy wrogiej armii i poprowadzono na rozstrzelanie, lecz wtedy nad głowami żołnierzy zaczęły się rozrywać szrapnele rosyjskie, które ocaliły mu życie.

W trakcie walk Chodel został doszczętnie spalony. Ocalały jedynie chałupy przy drodze do Opoła. Na wieś nałożono kontrybucję, zarekwirowano ludziom wozy, zaś Wyróślaka, ojca dziewięciorga dzieci, który błagał o litość, pchnięto bagnetem. Ten, wyrwany będąc ich rznął! Na szczęście słów nie zrozumiano. Przeżył. Mieszkańcy jednak byli oddanie pod sąd wojenny: „Pierwszy lepszy żołdak był nieograniczonym panem życia i śmierci” [1301, s. 126].

### Austriackie zabójstwa i gwałty

W Pusznie zamknięto w stodole 48 chłopów, którzy mieli być następnie osądzeni. Pocisk zabił wartownika, zabił też uwięzionego Jana Fiuka, stodoła zaczęła się palić, więźniowie uciekli. Spalone zostały także chałupy w Ludwikowie i na Dąbrowie.

W Borowie z rąk Austriaków zginął pięćdziesięcioletni Klemens Jurak, sześćdziesięcioletnia Agnieszka Wnuk oraz Szczepan Kochański z zięciem Brzozowskim. Przebity bagnetem Władysław Adamczyk z Antonówki uratował się. W Godowie, we dworze Dionizego Truszkowskiego, osądzono pięć osób



grupy, oczekuje od tych z górą 50 baonów już tylko chwilowego odciążenia w obsadzie pozycji, co pozwoliłoby jej samej przeprowadzić szerszą akcję zaczepną. Zorientowałem pobieżnie generała o dotychczasowych walkach i nieco dokładniej na mapie o sytuacji i rozmieszczeniu obecnym wszystkich oddziałów oraz doradzałem mu specjalnie obsadę dość korzystnie położonych wzgórz po drugiej stronie rzeczki Chodla, celem zapewnienia jej przeprawy, a ustaliwszy jeszcze najlepszy sposób utrzymania wspólnej łączności, ruszyłem w powrotną drogę, by 12. Dyw. o tym wszystkim co rychlej uświadomić.

Wstąpiłem jednak po drodze jeszcze umyślnie do dow. brygady 1. Landszturmowej, konsystującej od dwóch dni w Opolu, aby przekonać się naocznie o skutkach zająć, jakie tam miały miejsce w czasie paniki wywołanej cofnięciem się 3. Dyw. Kaw. w dniu 26 sierpnia. Były one rzeczywiście fatalne, rynek spalony, sklepy zrabowane, mieszkanka biednej ludności również częściowo rozgromione, kilku mieszczan powieszonych za rzekomą zradę, a proboszcz miejscowy posądzony przez władze wojskowe o dawanie Rosjanom sygnałów optycznych z wieży kościelnej. To ostatnie twierdzenie, zupełnie fantastyczne, zdołałem przypadkowo szczęśliwie obalić, gdyż przeglądając się bacznie owej wieży kościelnej w chwili, gdy słońce zachodziło, zauważyłem, że promienie załamujące się w małych szklanych okienkach powodowały silne i często zmieniające się odbłaski, które naturalnie za sygnały poczytywać mogła jedynie chora ze strachu wyobraźnia, pragnąca koniecznie dopatrzeć się zawsze

i wszędzie zdrady, a to głównie dla usprawiedliwienia swego własnego niedołęstwa lub nawet i tchórzostwa. Wypowiedziałem też dobitnie to zapatrywanie w tym bie brygady i odjechać mogłem przynajmniej z nadzieją przeswiadczeniem, że nieszczęśliwego proboszcza dalej o zradę podejrzewać nie będą<sup>193</sup>.

Po złożeniu mego sprawozdania w dowództwie dywizji zaproponowałem od razu, by po wcieleniu do pułków liniowych kompanii marszowych, które właśnie wydzielani, rozwiązując całą 1. Brygadę Marszową, wzmocnione w ten sposób, a ogółem i tak bardziej bitne brygady liniowe zgrupować na odcinku flankowym między Chodlem a Opolem, pozostawić zaś za to znacznie mniej wartościowym batalionom armii Kummera dobrze już rozbudowane rowy strzeleckie dotychczasowego frontu, licząc na to, że za drutami i w akcji defensywnej można przecież będzie je jakoś zużytkować. Lecz odnośna moja propozycja została bezwzględnie odrzuconą przez dowództwo armii, zapewne dlatego, że wyższe władze przepisały już użycie grupy Kummera na lewym skrzydle, zaś każdej inicjatywy własnej obawiano się już wówczas tam nawet jak ognia. Dowódca 1. Armii, poczciwy gen. Dankl, chociaż prawdziwy gentleman, był bowiem przede wszystkim małostkowym i pedantycznym biurokratą i w zupełnej swej apatii unikał stale wzięcia na siebie

<sup>193</sup> Wedle innych źródeł o dawanie znaków z wieży kościelnej oskarżono ks. Piotra Ozimńskiego z pobliskiego Chodla. Por.: W. Dzwonkowski, *W ogniu armat. Wraznia naoczne świadka z linii bojowej w Opolszczyźnie Lubelskiej (sierpień–listopad 1914)*, Warszawa 1914, s. 126–131.



Znakomity artylerzysta, świetny oficer sztabu generalnego austriackiego, generał na rok przed wielką wojną, Tadeusz Rozwadowski, syn rycerskiej rodziny kresowej, nigdy nie przestał czuć się Polakiem i nigdy nie przestał myśleć o wojnie o Polskę, oddaniu swej wiedzy, talentów, zapалу sprawie polskiej. Był w styczności z polskimi organizacjami wojskowemi przed wojną; wczas dostrzegł w nich związek przyszłego wojska narodowego. Gdy powstały w czasie wojny legiony polskie, wielu Polaków widziało w Rozwadowskim właściwego przyszłego ich dowódcę, zabiegano nieraz o powierzenie mu ich komendy. Na przeszkodzie stanęła indywidualność Rozwadowskiego, siła jego uczuć patriotycznych, niezależność i odwaga jego sądów i działań. Dla Austriaków nie był on stosownem narzędziem.

Poszedł w bój z austriacką brygadą artylerji, w obcej służbie wysoko niosąc honor Polaka. W początkach września, w Lubelskiem, nad rzeczką Chodlem samorzutnie w chwili krytycznej objął dowództwo dywizji, porzuconej przez wystraszonego dowódcę i jego sztab, zaskoczył zwycięskiego przeciwnika nagłą koncentracją ognia artyleryjskiego i w boju pod Grondami i Borowem natarcie jego złamał. Zatuszowano ten czyn ze względu na autorytet oficjalnego dowództwa, ale po latach prawda została ustalona i generał Rozwadowski, już



armii gen. Rozwadowskiego.

General Rozwadowski postanowił więc na własną rękę działać i wbrew rozkazom zrobić wypad, zniszczyć zgromadzonego w rejonie Borów—Grondów nieprzyjaciela.

Objąwszy dowództwo „na własną odpowiedzialność“ (bo sztab dywizji, umknąwszy, znaku życia nie dawał), wydał dyspozycję do nocnego oskrzydłającego wypadu na Borów i Grondy dwoma baonami z rejonu Fryszerka—Majdan Borowski, a trzema baonami z lasu położonego na południowy wschód od wsi Grondy — i przy doskonałym poparciu artylerji — wykonał go z pełnym sukcesem, niszcząc cztery baony rosyjskiej piechoty, grupujące się do ataku, który miał z brzaskiem dnia nastąpić.

Szczyście, sprzyjające dzielnym, dopisało także temu wypadowi, bo rosyjska artylerja będąca w trakcie przegrupowania się do rannej akcji, nie mogła wspierać swojej piechoty w Borowie i Grondach.

Wzięto przy stosunkowo niedużych stratach około tysiąc jeńców, a ich zeznania potwierdzały najzupełniej przypuszczenia gen. Rozwadowskiego; było bowiem istotnie planowane przełamanie frontu pod Borowem 5. września 1914 r. i cztery baony rosyjskie miały je z brzaskiem dnia przy poparciu całej artylerji wykonać.

Za czyn ten niezwykle, pełny inicjatywy, czyn szalonej odwagi i niecodziennego ryzyka opartego o logiczną, zimną ocenę sytuacji, został generał Rozwadowski w cztery lata później, po przeprowadzeniu dokładnych, jak przepis każe, badań, odznaczony najwyższym bojowym orderem austriackim, Krzyżem Marji Teresy. Promocja nastąpiła 17. sierpnia 1918 r. w willi Wartholz w Reichenau.